

Dr Wł. Krzyżaniak

Wszechświat Einsteina

18 kwietnia zmarł w wieku lat 76 jeden z najgenialniejszych fizyków wszystkich czasów, Albert Einstein, twórca szczególnej i ogólnej teorii względności i nowej teorii grawitacji. Omówieniu szkieletu głównych zębów rewolucyjnego, wobec tradycyjnych, modelu Wszechświata w ujęciu Einsteina poświęcamy poniższy artykuł.

Od tysiącleci dążył geniusz ludzki do stworzenia konsekwentnego poglądu na istotę Wszechświata. Poprzez starożytną „filozofię przyrody”, „Wszechświat” Pitagorasa z liczbą-arithmosem jako jego siłą sprawczą i jedynym narzędziem badawczym, pozwalającym ująć jego prawdziwe oblicze matematyczną myślą; poprzez prymitywny „Wszechświat” starożytnych w postaci płaskiej tarczy; poprzez jednostronny idealistyczny „Wszechświat” Platona, dedukowany „według pojęć i liczb”, i wiele innych, bardziej współczesnych, dochodzimy po tej intelektualnej drabinie coraz do doskonalszych syntez do „Wszechświata” Alberta Einsteina, stanowiącego ostatnie słowo nauk fizycznych.

Motor tego dążenia do syntezy ujawnia astronom Laplace, wyrażając tęsknotę za takim modelem Wszechświata, by „móc zamknąć w jednym wzorze ruchy najwęższych ciał niebieskich i najdrobniejszych elektronów”. Rozumiemy go, gdy dowiada, że „ta dążność jest właściwością natury ludzkiej i wynosi człowieka ponad zwierzęta”.

„Dzisiaj” cywilizacji to „wczoraj” fizyki

„Wszechświat” relatywistyczny Einsteina jest „dzieckiem” fizyki teoretycznej. Gdyby nie ona i współdziałająca z nią fizyka doświadczalna, technika i cywilizacja musiałaby nieuchronnie wyschnąć. Leopold Infeld, współpracownik Einsteina, podnosi słusznie „dociąganie się” techniki do zdobyczy fizyki, choć fizyka wyrasta, jak nauki wszystkie, z potrzeb praktyki. Fizyka patrzy daleko-wzrocznie, technika z jej osiągnięć robi doraźny użytek. Dlatego „dzisiaj” techniki jest odbiciem tylko „wczoraj” fizyki. Fizyczna teoria kwantów z roku 1900 i teorie względności Einsteina z roku 1905 dyskontuje dopiero na naszych oczach technika rozpoczynająca się „ery atomowej”.

Genialny wzór Einsteina i „wrząca Wisła”

$$E = h \cdot n = m \cdot c^2$$

jest lapidarnym potwierdzeniem tezy, że energia jest po prostu jedną z form bytowania materii, orzeka wręcz o równoważności masy i energii, co upoważniałoby zasadniczo do... skreślenia jednego z tych słów ze słownika. Litera E to symbol energii, zdolności działania. Lewa strona wzoru jest rodowodem z teorii kwantów (litery h oraz n), prawa strona wzoru jest rodowodem z teorii względności (litery m oraz c²).

Orzeka ona właśnie, że każda masa, choćby najzwyklejszej substancji, jest zasobnikiem ogromnej ilości utajonej energii. By tę energię zmierzyć, należy tylko skorzystać ze wzoru. Masa (w gramach pomnożona przez kwadrat prędkości światła (prędkość ta wynosi 300 000 km/sek., czyli 30 000 000 000 cm/sek.) wskaże energię w tzw. ergach. Rachunek wykazuje na przykład, że energia E, zawarta w zaledwie 1000 gramów jakiegokolwiek materii, wystarczyłaby albo na transport 4 milionów pociągów

z węglem ze Śląska do Gdyni, albo na zaopatrzenie Polski w prąd elektryczny przez 4 lata, albo wreszcie na doprowadzenie całej Wisły do temperatury wrzenia...

W roku 1905, kiedy Einstein wystąpił ze swą teorią, przepowiedział teoretycznie możliwość zużytkowania masy jako zasobnika energii. 2. VIII. 1939 pisał do Roosevelta: „Badania naukowe wskazują na możliwość zrealizowania w wielkiej masie uranu reakcji łańcuchowej, której wynikiem byłoby wyzwolenie olbrzymiej ilości energii. Wydaje się prawdopodobne, że zostanie to osiągnięte już w najbliższej przyszłości” (in the immediate future). Genialna dalekowzroczność Einsteina po raz drugi zaskoczyła cywilizowany świat.

„Stu autorów przeciw Einsteinowi”

Teoria Einsteina jest ogromnie trudna, dostępna w całości tylko przy znajomości wyższej matematyki i to



dopiero „najcieńszego kalibru”. Burzy tradycyjne pojęcia o przestrzeni i czasie, „klasyczną” fizykę Newtona sprowadza do szczególnych przypadków własnych uogólnień. Styl jego książek jest niesłychanie skondensowany, co nawet wśród specjalistów rodziło nieporozumienia.

Umiejętność stawiania pytań przyrodzie, na które (wobec jej milczenia) przede wszystkim od matematyki oczekuje się odpowiedzi — oto istota metody naukowej Einsteina. Jest to metoda — „a priori”, jak byśmy powiedzieli, orzekania o czymś z góry, zanim znajdziemy tego potwierdzenie w doświadczeniu, a nawet... wbrew doświadczeniu, oskarżając je o wprowadzanie nas w błąd. Skłonność do syntetycznego myślenia i genialnych uogólnień, piękno zastosowanej metody matematycznej, dalekowzroczność w wyciąganiu wniosków tylko niekiedy ze wzorów, które po prostu „myślał” za uczonego — wszystko to było zbyt rewolucyjne, by nie napotkać sprzeciwu również ze strony prawdziwej nauki. Burza dookoła teorii względności przewalała się długo nad światem, by wreszcie przycechnąć. Nie dlatego jednak, by o niej zapomniano, ale dlatego, że w podstawowych wypadkach naukowego zagrożenia teorii — świadectwo doświadczenia bardzo precyzyjnego, „najwyższy sędzia” w naukowych sporach, wypowiedziało się na ogół za Einsteinem.

Genialnego fizyka nie omiły jednak dwie przedsięwzięte przeciw niemu „krucjaty”. Pierwszą zorganizowano pod hasłem „Hundert Autoren gegen Einstein”. Zdezorientowana publiczność śmiała się w teatrach z „teorii względności”, a „uczeni”, zaprzęgnięci z powodu inflacji doktorów również do fałszowania prawdy, ogłaszali „protesty”: „Schluss mit der Einstein-Irrung” i „Ban-

krott der Relativitätstheorie”. Kampania anti-Einstein miała unicestwić uczonego pod pretekstem, że „homo novus”, były rzeczoznawca patentów, chce dawać lekcje fizyki sławom światowym, podczas gdy podłożem sprawy było — pochodzenie Einsteina z narodu, który rasizm przeznaczył do dołów z wapnem i komór gazowych. Drugą „krucjatę” ogłosił waszyngtoński komitet z tytułu deklaracji pokojowych Einsteina. „Subversive” Einstein, teoretyk wykorzystania energii atomowej „wypadł z gry” przez nieopatrzne słówko. Człowiek, który niejako za jednym zamachem rozciął „wzły gordyjskie” nowożytnej fizyki, kosmologii i filozofii, zamknął u schyłku życia w zaciszu swej pracowni, przerażony myślą, że przyczynił się do wręczenia przysłówiowej siekiery w ręce szaleńca.

Zdarzenia w czterowymiarowym Wszechświecie

Einstein nazwał swą teorię „teorią względności”. U laików rodziło to domysł, że poznanie rzeczywistości jest tylko „względne”, a obiektywne poznanie Wszechświata jest mrzonką. Tymczasem w każdej teorii fizycznej dopatrzmy się pojęć „względnych”, dyktowanych nieraz wręcz przez doświadczenie. Takim pojęciem „względny” jest przede wszystkim ruch.

Któż z nas nie zna z własnego doświadczenia chwili, kiedy przy dwóch pociągach stojących wzdłuż siebie równolegle i siedząc w jednym z nich, nie może się zorientować, który mianowicie z dwóch pociągów zaczyna opuszczać stację: własny czy sąsiedni? Jest „obserwatorem” pewnego „zdarzenia”, ale brak mu w danej chwili nieruchomego „układu odniesienia”, względem którego mógłby dobrze opisać „zdarzenie” i rozstrzygnąć wątpliwość.

Teoria względności Einsteina szczególna (w jej terminologii: specjalnej teorii) zajmuje się właśnie „obserwatorami”, poruszającymi się względem siebie i stąd tylko jej nazwa. Ogólna teoria względności Einsteina (general theory of relativity) oraz uogólniona przez niego teoria grawitacji (generalized theory of gravitation) przenoszą nas w „zdarzenia” rozpatrywane w skali Wszechświata, gdy szczególna teoria względności zdaje się raczej sprawę ze „zdarzeń”, dostępnych na ogół badaniom w pracowni uczonego.

Widząc unoszący się w sнопie światła pylek, jestem „obserwatorem”, „zdarzenia”. (Ciąg dalszy na str. 2)

Mickiewicz w mikroskopijnym wydaniu



W jednej z najstarszych bibliotek Odessy — Bibliotece im. Gorkiego — znajduje się dział „białych kruczków” i rzadkich wydań. Przechowywane są tu m. in. miniatury Mickiewicza — poezji Mickiewicza, baśnie Kryłowa i list Galileusza (na zdjęciu).

Fot. — CAF



Siergiej Obrazcow

artysta ludowy ZSRR

MOJE SPOTKANIA

Wczesnym rankiem po morzu płynął duży parowiec. Już dawno powinien był się ukazać brzeg. Pasażerowie stali na pokładzie i uparcie wpatrywali się w dal, chociaż nie było nawet widać fal za burzą. Dokoła wisiała gęsta, wilgotna mgła.

Weszło słońce. Mgła odebrała się od wody, zaczęła się układać w warstwy, potem stała się przeźroczysta jak gaz i wreszcie, prawie tak tuż, ukazał się brzeg, porośnięty wiosennym lasem, z polankami, domkami rybaków, pełnymi powabów ścieżkami i przesiekami...

Ta właśnie mgła, która stopniała pod promieniami porannego słońca, przyszła mi na myśl właśnie dziś — w dniu pierwszego maja. Przypomniałem ją sobie dlatego, że właśnie mgła, lepka mgła kłamstw, oszczerstw i przesądów chcą wrogowie narodów w ten wiosenny dzień przeszkodzić prostym ludziom różnych krajów ujrzeć siebie nawzajem.

★

W dniu pierwszym maja, w wielkim dniu międzynarodowej solidarności ludzi pracy, każdy spośród nas — ludzi radzieckich, myśli o ludziach żyjących w innych krajach, o ich walce o przyjaźń i pokój. Samo przez się jest też zrozumiałe, że tym, którym w ich życiu przypadło w udziale przebywać w różnych okresach czasu w różnych państwach, przesuwają się przez myśl spotkania z ludźmi i zachowane w pamięci uczucia.

Wiosną 1945 roku, zaledwie na kilka tygodni przed zakończeniem wojny, znalazłem się wraz z grupą radzieckich aktorów w Bułgarii. Nasze występy witano z jakąś szczególną radością. W taki sposób wita się przyjaciół po długiej rozłące. Na ulicach poznawano nas na podstawie fotografii wydrukowanych w gazetach i bardzo często zatrzymywano, by się przywi-

tać. A po przywitaniu, rzecz prosta, zasypywano nas gradem najprzeróżniejszych pytań.

Z początku niektóre pytania zaskakiwały mnie swą niezwykłością, ale potem zrozumiałem, skąd się biorą podobne pytania i — co najważniejsze — zrozumiałem tę konieczną potrzebę usłyszenia odpowiedzi. „Przepraszam... Czy to wasza żona?” — „Tak”. — „Czy dawno jesteście żonaci?” — „Już wiele lat”. — „Czy w Związku Radzieckim bywają długotrwałe małżeństwa?” — W odpowiedzi uśmiecham się. — „Wybacze, ale nam mówiono, że u bolszewików w ogóle nie ma małżeństw!” — „A czy kobietom wolno nosić wieczorowe suknie?” — A koleżki? A czy nie odbierają dzieci zaraz po urodzeniu? — A czy wy macie dzieci?...

Nasi przygodni rozmówcy starali się rozsiać ostatnie ślady faszystowskiej mgły, zjadliwej, żrącej mgły rasizmu i oszczerstw rzucanych na Związek Radziecki, na nas — na radzieckich ludzi.

W naszych oczach owej wiosny wschodziło nad Bułgarią i Rumunią słońce. W naszych oczach malała i znikła faszystowska mgła.

W latach 1947/48 wraz z zespołem Państwowego Centralnego Teatru Lalek znalazłem się w Polsce i Czechosłowacji. W krajach tych, gdzieś tam na peryferiach życia, byli jeszcze i wrogowie wolności, faszysty i spiskowcy, a nawet zdradcy, którzy przeniknęli do aparatu rządowego, ale zakłamana faszystowska mgła nie zasłaniała już oczu prostym, uczciwym ludziom. Naturalnie, wówczas również zarzucono nas pytaniami, ale pytania te były zupełnie inne: O domy, przesuwane na szynach po to, by rozszerzyć ulice Gorkiego w Moskwie, o Miczurina, o stację moskiewskiego metra.

W każdym mieście witano nas z taką szczera radością, z jaką wita się tylko największych przyjaciół. Spotykaliśmy się w tych krajach z różnymi ludźmi: robotnikami, chłopami, pisarzami, aktorami. Spotykaliśmy się nie tylko w czasie przedstawień. Widzieliśmy początek odbudowy zrujnowanej Warszawy. Byliśmy w pięknym Krakowie, jednym z najstarszych miast Polski, byliśmy w odeszłym od niej przez długie lata Wrocławiu. Górniczy kopalni soli w Wieliczce pokazywali nam swoje czarne, podziemne miasto o dwóch korytarzach, biegnących obok głębokich, podobnych do czarnych przepaści jezior, pięknych salach rozbitujących słonymi iskrami kryształów, a nawet podziemnym kościele, w którym postacie świętych wyciosane są z soli.

W dniach Bożego Narodzenia chodziliśmy po pięknych świątyniach Pragi. W mieście Zlin byliśmy w uroczystych dniach — wówczas gdy nada-

Przed dziesięciu laty...

Maj 1945... Na przedpolach Berlina trwa ostatni bój z dogorywającą potęgą militarną Hitlera. Obok żołnierza Armii Radzieckiej ostatnią twierdzę hitlerizmu szturmują oddziały Odrodzonego Wojska Polskiego. Na świecie jest już wiosna, wokół kwitną drzewa i kwiaty. Narody całego świata witają tę wiosnę inaczej niż poprzednie. Maj 1945 roku przynosi wolność, przynosi triumf sprawiedliwej sprawy, przynosi nadzieję długotrwałego pokoju, szczęśliwego jutra...

Już dziesięć lat mija od tych dni. Przebiegając w myśl tamtej wiosny, wierzymy, że sprawa, za którą wspólnie przelewaliśmy krew, że okres, gdy — jak mówił poeta — „w bombowym leju z jednej mieniącej się Polak i Rosjanie” — że dni triumfu roku 1945 — były ostatnimi dniami wojny. Wierzymy, że nigdy już nie ozwa się działo. Tak chcą narody. O to walczą i zwyciężą — tak jak dziesięć lat temu, pod Berlinem.

★

Na zdjęciu — sztandar Dywizji Kościuszkowskiej, okryty wojenną chwałą.

wano mu imię Gottwalda. I nigdzie nie czuliśmy się po prostu gośćmi. Byliśmy przyjaciółmi, prawdziwymi, dobrymi przyjaciółmi.

W Niemczech byłem po raz pierwszy w 1925 roku. Polubiłem wówczas Berlin, Lipsk i ludzi, z którymi się spotykałem. W 1950 roku jechałem do innych Niemiec — do kraju, który w ciągu szeregu lat odczuwałem jako wroga. Być może, nigdzie i nigdy — jak właśnie w czasie tej podróży — tak jasno nie odczuwałem głębi mądrości polityki naszego rządu i naszej partii — mądrości umiejscowionej odróżnić naród od tymczasowych jego władców. Nigdzie też chyba nie odczułem w takim stopniu znaczenia potrzeby tych żywych spotkań, tej łączności, która nawiązuje się podczas wymiany delegacji kulturalnych między państwami — łączności rozwijającej mgłę nieufności pozwalającej widzieć i słyszeć serce przyjaciela.

Przeszło ćwierć wieku temu byłem w Stanach Zjednoczonych. Mój syn, który został w Moskwie, miał wówczas trzy lata. Jasne, że tęskniłem za Ojczyzną, za Moskwą, za rodziną, a więc i za synem. Również rzeczą zupełnie naturalną było to, że chodząc po Centralnym Parku w Nowym Jorku, po alejach Waszyngtonu czy po ulicach Chicago, zatrzymywałem się przy małych dzieciach, spacerujących wraz ze swymi mamami, nianiami czy starszymi siostrami. Zaczynałem z nimi rozmowy, a jeżeli była chwila czasu, bawiłem się w piłkę lub rysowałem na piasku śmieszne kotki czy słonie.

Myślę teraz o nich, o tych Amerykanach, którzy, podobnie jak mój syn, mają już pod trzydziestkę. Jasne, że w tym kraju wiele napędzono mgły, ale wiem i wierzę, że owa mgła nie oślepiła wszystkich moich starych znajomych.

Mam teraz wnuka. Tym małym dzieckiem, z którym ścigałem się po Riverside Drive na pewno również urodziły się dzieci — dziewczynki i chłopcy. Podobnie jak mojemu wnukowi, życzę im szczęścia w życiu, ale szczególnie to zależy od ich ojców i matek, od ich walki o przyszłość, o pokój, o przyjaźń.

★

Wspominam też ruiny Drezna i niewielką wystawę lalek. W jednej z witrzyn znajdowały się zabawki i lalki wydobyte ze schronu zrujnowanego domu. Małeńkie właścicielki tych lalek zginęły uduszone dymem pożaru. Lalki, to nie ludzie — one nie umarły. Nad witrzyną widniał napis: „Uczyńcie tak, by nie zabijano dzieci. Chcemy, by się one nami bawiły”.

Wierzymy w to, że słońce pokoju i przyjaźni rozwieje mgłę zakłamania i niedowierzania, mgłę, która przeszkadza prostym i uczciwym ludziom widzieć i słyszeć siebie nawzajem.

Wszechświat Einsteina

(Dokończenie ze str. 1)

ge je umiejscowić tak: zaczyna rachubę miejsca w przestrzeni od tego rogu podłogi. Maszeruj stamtąd X metrów wzdłuż listwy podłogi, potem Y metrów w bok i tam stanąwszy — podnieś wzrok na wysokość Z: tu przebiega „zdarzenie”. Zauważmy, że te trzy „współrzędne” przestrzenne przypominają adres na telegramie: numer domu wzdłuż ulicy, numer mieszkania i piętro. Listonosz może jednak nie znaleźć adresata (odpowiednik naszego „zdarzenia”)! W tym czasie bowiem nie ma go w domu. Podobnie nasz pylek może odbyć ruch i bez podania „współrzędnej” czasowej; zdarzenie nie jest dobrze umiejscowione względem obranego „układu odniesienia”. Tak tworzymy model czterowymiarowego Wszechświata, w jakim obraca się myśl Einsteina. Zdarzenia przebiegają tam względem czteroosiowego rusztowania „współrzędnych”, w „continuum” przestrzenno-czasowym.

Ale jedno „zdarzenie” i nie-ruchomy jeden jego „obserwator”, to traf niezwykły. Nasz wzorcowy pylek może być śledzony również przez naszego znajomego, podjeżdżającego samochodem pod okna mieszkania. Opiszcie on zupełnie inaczej to samo „zdarzenie”, bo umiejscowi je względem innego „układu odniesienia”. Fizyka relatywistyczna Einsteina opłata więc Wszechświat pajęczyną tyłu „układów odniesienia”, ile ich... zechcą obrać przygodni „obserwatorowie”. Wzdraga się przed tym wyobraźnia, ale nie cofa się przed tym matematyka.

Matematyka i doświadczenie

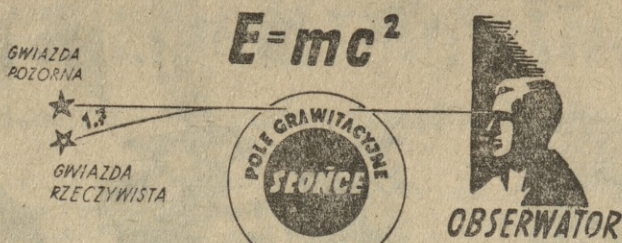
Zauważmy, że to relatywizowanie „zdarzeń” pociąga następstwa wprost rewolucyjne,

FILM = FILM = FILM = FILM

„Dziabeł ze starego młyna” — oto tytuł najnowszego filmu wytwórni „DEFA”. W tym ciekawym filmie ujrzymy W. A. Keinaua w jednej z jego najdoskonalszych kreacji. Ten znakomity aktor, który dał się nam poznać w roli amerykańskiego pułkownika w „Radzie bogów”, był znakomitym Vautrinem w „Kamieniu w Paryżu”, dziadkiem Danielem w „Wyjętych spod prawa” itp. — gra rolę brutalnego właściciela młyna. Obok niego ujrzymy Ewę Kothaus, znaną z filmu „Wyjęci spod prawa” i H. P. Minellego, którego widział śmy ostatnio w „Na barykadach Hamburga”. Film reżyserował młody realizator Herbert Ballmann, twórca filmu „Tajemniczy wrak”.

Znany realizator radziecki Aleksander Fajncimmer wyreżyserował jeden z najbardziej frapujących filmów radzieckich obecnego sezonu; jest to wolna przeróbka powieści E. Voynich „Szerszeń”, która cieszy się wielkim powodzeniem w Związku Radzieckim a także u nas, chociaż nakład jest od dawna wyczerpany. Scenariusz na podstawie motywów tej powieści napisał znany scenarzysta Gabriłow, twórca adaptacji filmowej „Złoty” Nikołajew (film „Odzyskane szczęście” Pudowkina). Operatorem tego filmu jest A. Moskiewicz, a muzykę skomponował Dymitr Szostakowicz. Znaczną część filmu rozgrywa się na plenerze wśród olbrzymich, specjalnie wzniesionych dekoracji, przedstawiających z dużą wernością miasteczka włoskie. Film jest także interesująco skompo-

W Niemieckiej Republice Demokratycznej przed Światowym Festiwałem Młodzieży i Studentów. W czasie ogólnoniemieckiego spotkania młodzieży z NRD i Niemiec zachodnich w Meissen wystąpił Państwowy Zespół Artystyczny Serbsko-Lużycki, który pokazał program przygotowany na V Festiwal Młodzieży i Studentów w Warszawie. Na zdjęciu: fragment występow. Fot. — CAF



Jedną z genialnych „przepowiedni” Einsteina: ponieważ energia ma masę, więc światło, jako energia, znalazł się w polu grawitacyjnym, musi być... ciężkie. Promień gwiazdy, przechodząc dostatecznie blisko pola grawitacyjnego Słońca, zostanie w nim odchyłony po pewnym torze krzywym. Obserwatorowi będzie się wydawało, że gwiazda świeciła na kierunku stycznej do rzeczywistego krzywego toru promienia. Einstein przepowiedział kąt odchylenia na 1,7 sekundy. Potwierdzenie tej „przepowiedni” przez sumienne pomiary w roku 1919 okrzyło sławą twórcę teorii względności.

Wskazywano, że badanie następstw tych „transformacji”, to właściwie przedmiot szczególnej teorii względności. Pierwszym następstwem jest „skrócenie długości” poruszającego się ciała dla „obserwatora”, a drugim „przedłużenie czasu”. Nowoczesna kinematyka, dynamika, optyka, elektromagnetyka, termodynamika, opisując zrelatywizowany „Wszechświat” Einsteina i przebiegające w nim „zdarzenia”, korzystają w pełni ze szczególnej teorii względności.

Ze stanowiska matematyki jest dobrze udokumentowane „skrócenie długości”, doświadczenie nielato jest jednak potwierdza. Tak samo doświadczenie napotyka na trudności przy sprawdzaniu „przedłużenia czasu”, a jednak w jadącym pociągu sekunda jest... dłuższa niż poza pociągiem. Okazuje się dalej, że wbrew „klasycznej” fizyce Newtona nie jest stała i masa. Będąc w ruchu jest większa od „masy spoczynkowej”.

Odkrycie równoważności masy i energii, wyprowadzone kategoriami matematyki z „Wszechświata” Einsteina, doprowadziło do wykorzystania

energii atomowej i ono już jedno zapewnia mu świetną kartę w historii nauk. Einstein rozciągnął jednak jeszcze na swój „Wszechświat” nową teorię grawitacji i ogólną teorię względności. Przepowiedział dla swego „Wszechświata” zakrzywienie promieni świetlnych przechodzących blisko Słońca. W roku 1919 doświadczenie poparło ten domysł. Wyparł z fizyki rekwizyty domysłu o istnieniu wszechobecnego „eteru”, nauczył pojmnować ciężkość w swym „Wszechświecie” nie jako własność ciała, ale jako „cięchę pola” grawitacyjnego, charakteryzującego się przez słynnych 16 „funkcji” Einsteina. „Absolutny czas” Newtona sprowadził do roli czwartej „współrzędnej” w swym czterowymiarowym „continuum”, a „klasyczny” nieskończony i nieograniczony nasz Wszechświat przeciwstawił matematycznie „swojemu”, który musi być tylko... wyspą materii wśród tych zionących pustką niezmiernych przestrzeni, które tak przerażały Pascala.

Czy teoria Einsteina wytrzyma próbę wieków, tak choćby jak klasyczne prawa Newtona? Kiedy Newton ogłosił swe „Principia”, wielki fizyk Huyghens dziwił się, „jak mógł Newton zadać sobie tyle trudu, wykonać tyle trudnych badań i rachunków, które żadnej innej podstawy nie mają, jak tylko to niedorzeczne prawo przyciągania...”. A jednak Newton przetrwał wieki, póki... nie przyszedł Einstein. Tak jest jednak bezlitosny los naukowych teorii: muszą ustąpić, gdy zjawia się nowa, stwarzająca lepszy „model” Wszechświata i lepiej opisująca przebiegające w nim „zdarzenia”. Trudno dziś przewidzieć, kiedy i z jakich pozycji zaatakowana będzie koncepcja „Wszechświata” Einsteina. Nauka nie stoi bowiem w miejscu.

List z Warszawy

„Czwartek” Marii Dąbrowskiej

Od niedawna przybyła Warszawy jeszcze jedna ciekawa impreza kulturalna. Wie o niej stosunkowo mało ludzi, gdyż prasa, nie wiadomo dlaczego, ani jej nie anonuje, ani nie recenzuje. A ma ona stare, bo aż Stanisławowskie tradycje (nawlasem mówiąc za chowane w Poznaniu — przyp. red.) Był już m. in. wieczór Andrzejewskiego, Parandowskiego, Słonimskiego. Ostatni, dziesiąty z kolei, dała Maria Dąbrowska. O nim właśnie kilka słów.

Sala Muzeum Narodowego, gdzie się owe spotkania czytelników z literatami odbywały, była pełna. Kilkadziesiąt osób, dla których zabrakło miejsc siedzących, podpierało ściany. Wiele osób odeszło rozczarowanych od okienka w Orbisie, gdzie otrzymuje się karty wstępu. Połowa zebranych tu wielbicieli piśarstwa Marii Dąbrowskiej — to młodzież, chyba studencka. Skład pozostałych — bardziej różnorodny. Przeważają kobiety, wiele w wieku zdradzającym, że były świadkami pierwszych kroków Marii Dąbrowskiej w literaturze.

Gośćmi oklaskami powitaliśmy pisarkę. I przynajmniej raz, bylam wzruszona, spoglądając na tę miłą, bezpretensjonalną postać, niezmienną w wyglądzie od tylu lat. Czarna sukienka z białym kołnierzykiem, równo przycięta gryzka srebrnych włosów czyniła jej wdzięk niemal młodzieńczym. Dąbrowska odczytała jedną

Ze starych szpargałów

Niedoszły awans

Szamocina

Mało kto wie, że Szamocyn, czyli Szamocin, miał być kiedyś „pępkim” Europy. Właściciel tego miasteczka (połowa XVIII wieku) tak rozumował: Szamocyn leży pomiędzy Gdańskiem, Wrocławiem, Berlinem, Warszawą, Szczecinem, Wiedniem i Wilnem. Ponadto jest położony nad Notecią, stąd łatwo dostać się do Frankfurtu, do Szczecina, do Berlina, a nawet do Hamburga. O tak uspaniałych warunkach nie może śnić żadne inne miasto.

„A więc niech do Szamocyna przyjeżdżają kupcy, drukarze, rzemieślnicy z całej Rzeszy!” Szumny manifest J. O. Leona hr. Racińskiego nie dał jednak właściwego rezultatu, bo w roku 1772 „miasto” liczyło aż — 312 mieszkańców.

Samorództwo garnków

Jezuita Gabriel Rzączyński w roku 1721 wydał dzieło składające się z 20 traktatów. Posłuchajmy, co mówi o naszych stronach:

„Garnki kopalne są koło miasta Śrem w Wielkopolsce na polach wsi Nosków, na Pałkach niedaleko Łelena i Kozielska, które wydobyte z ziemi zupełnie podobne do garnków wyrabianych szkołą garnarską. Koło Śremu nie tylko garnki, ale dzbany, kotły i naczyńia innych kształtów rodzą się same z siebie pod ziemią, wykopuje się je miękko, po wyniesieniu na powietrze twardnieją”.

Bzdurne to wyjaśnienie cennych wykopalsk. Jaką uczyć z nich mieliby archeolodzy, gdyby wówczas istniali!

Adam Mickiewicz w kraju Goethego

Henryk Barański

W Roku Mickiewiczowski, a zwłaszcza w Tygodniu Zbliżenia Kulturowego Niemiec i Polski nie podobna pominąć postaci rówieśnika Adama Mickiewicza, wielkiego uczonego i wychowawcy młodzieży niemieckiej i polskiej Wojciecha Cybulskiego — Wielkopolańczyka. Położył on w połowie XIX wieku wielkie zasługi na polu zbliżenia polsko - niemieckiego jako wykładowca literatury polskiej w ciągu ćwierci wieku, najpierw w Berlinie (1841—1860) a następnie we Wrocławiu (1860 do 1867).

Dwie prace jego wydane po niemiecku w Berlinie, a mianowicie „Geschichte der polnischen Dichtkunst” (Historia poezji polskiej) i „Die letzte Revolution Polens und die ihr vorangehende Bewegung” (Ostatnia rewolucja polska i poprzedzające ją prądy) zagnały polskie społeczeństwo niemieckie z literaturą polską i ugruntowały sławę Adama Mickiewicza. Katedra sławistki w osobie Wojciecha Cybulskiego stała się trybuną, z której rozśławiał piśmiennictwo polskie, a zwłaszcza okres romantyzmu.

Wielki uczony, świetny znawca literatur słowiańskich spełniał w Berlinie i Wrocławiu wśród Niemców te same zadania, co Mickiewicz w Paryżu w Collège de France. Ci dwaj profesorowie katedr sławistki w Paryżu i Berlinie mieli jednak inne spojrzenie na rozwój literatur słowiańskich. Cybulskiemu obcy był mistycyzm. Tłumaczył się to odrębnością organizacji psychicznych, wychowaniem i otoczeniem. Mickiewicz do zimnej filozofii Oświecenia nie miał przekonania, czego dowodzi jego credo w „Romantyzmie”. Do spekulacji systemów niemieckich czuł wrodzoną wstręt, co odbiło się w Berlinie w krytycznej ocenie wykładów Hegla. Cybulski natomiast wychowany przez profesorów niemieckich każdy problem traktował ściśle naukowo. Potępiał on Towiańskie. Nie uznał ubóstwiania narodu polskiego kosztem innych. Widział odrębną drogę dla Polski. Pisał proroczo, że gdy naród polski odzyska wolność, stanie w szeregu wolnych narodów produkujących światu, jako naród równouprawniony. Wpływ Towiańskiego na emigrację polską uznał za szkodliwy. W tym stanowisku do Towiańskiego nie podzielał zapa-

trywa Mickiewicza. Poza zastrzeżeniem co do wykładów Mickiewicza w „Collège de France” był entuzjastycznym wielbicielem twórczości Wieszczki.

Działalność poetycka Mickiewicza stała się osłą wykładów berlińskiego sławisty. Wykłady Cybulskiego cechowała pełna świadomość wielkości poety, patriotyzm i ukochanie ideowego wodza narodu. Dały one początek i impuls ówczesnym krytykom i historykom literatury do gruntownego zajęcia się twórczością Mickiewicza, a w społeczeństwie niemieckim spopularyzowały jego postać.

Na wykłady Cybulskiego Mickiewicz uczęszczała licznie również młodzież wielkopolska, pozbawiona uniwersytetu w Poznaniu. Wśród niej zrodził się kult Mickiewicza, niewątpliwie pod wpływem wykładów wielkopolskiego sławisty, który to kult, przekazany następnemu pokoleniu, dotrwał do czasów ostatniej wojny wyrażając się publicznymi manifestacjami przed pomnikiem Mickiewicza w Poznaniu.

W czasie, gdy Mickiewicz był w Niemczech a Cybulski prowadził wykłady w Berlinie w postępowym społeczeństwie niemieckim panowały żywe sympatie dla ruchów wolnościowych narodu polskiego. Powstaniu listopadowemu życzone zwycięstwa. Bitwa pod Grochowem stała się dla postępowego poety niemieckiego Maltitza tematem poematu pt. „Polonia” wydanego w Paryżu w 1831 r. Maltitz jest autorem dramatu o tematyce polskiej pt. „Stary hetman” oraz pieśni „Koścłuszko w Łagien-ce”, a zwłaszcza popularnej owoego czasu w Niemczech piosenki „Fordre niemand mein Schicksal zu hören” (Niech nikt nie pragnie słuchać o moim losie). Popularność wśród młodzieży poezji opiewających polskie ruchy wolnościowe, zaniepokoiła władze niemieckie, które każyły Maltitzowi opuścić Niemcy. Młodzież niemiecka zgłowała w Berlinie przyjacielowi Polaków serdeczne pożegnania. Inny ówczesny postępowy poeta niemiecki — Platen, za większe sympatyzujące z powstaniem listopadowym 1831 r. otrzymał od policji berlińskiej ostrzeżenie.

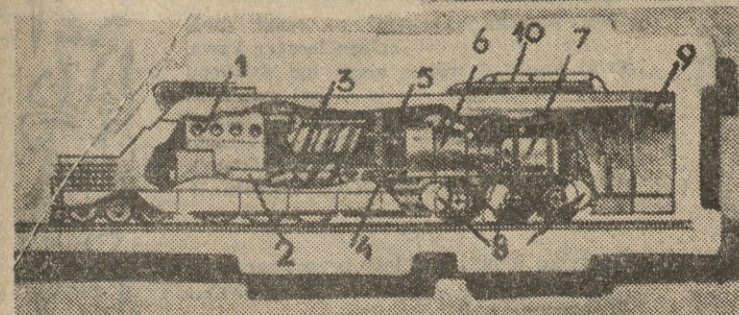
Wykłady Cybulskiego o Mickiewiczu i literaturze polskiej w dziesięć lat po upadku powstania podtrzymywały ducha w młodzieży wielkopolskiej, zagrzewały do walki o wolność i nie bez wpływu pozostały na wypadki 1848 r. w Wielkopolsce.

Wojciech Cybulski urodził się w 1808 r. w Koninie koło Lwówka, w dawnym powiecie bukowski. Rodzice jego byli niezamożni. Ojciec był urzędnikiem administracyjnym w majątku Łackich. Młody Cybulski wstępuje do gimnazjum Marii Magdaleny w Poznaniu i po jego ukończeniu wraz z Karolem Libelem udaje się na studia do Berlina.

Działalność naukowa Cybulskiego znalazła wysoką ocenę współczesnych pisarzy. Józef Ignacy Krzeczowski napisał wklawą przedmowę do jego dzieła „Geschichte der polnischen Dichtkunst”. Krytyka czeska stawia sławistę Cybulskiego obok tej miary sławistów co Szafarzyk i Maciejewski. Biograf Wojciecha Cybulskiego Józef Jachimek pisze, że piśmiennictwo polskie zawdzięcza Cybulskiemu pierwszą monografię o Mickiewiczu.

TERESA KUCZYŃSKA

Lokomotywa o napędzie uranowym



Rysunek I wyobraża projekt lokomotywy atomowej. Lokomotywa ta będzie prowadziła skład dwupiętrowych, luksusowych wagonów Rozstaw osi lokomotywy atomowej oraz wagonów będzie wynosił 4,5 m, czyli prawie trzy razy więcej niż rozstaw osi, stosowany obecnie w ZSRR (1,524 mm). Zapewni to doskonałą statyczność pociągu i pozwoli na jazdę z przeciętną szybkością ponad 200 km/godz. Inżynier J. Morawiec — projektodawca pociągu atomowego — sugeruje budowę kilku tego rodzaju magistrali kolejowych, łączących Moskwę z odległymi zakątkami ZSRR.

Udajmy się na peron, na który wjechał właśnie eks-

pres przyszłości. Oto przed nami lokomotywa, która nie posiada ani komina, ani charakterystycznego dla lokomotyw elektrycznych pantografu — zbieracza prądu z przewodów elektrycznych. Na dachu lokomotywy szklę się obszerna kabina maszynisty. Nie ma tu żadnych wielkich dźwigni: na małej tablicy rozdzielczej widać tylko kilka szeregów guzików. Ich przyciśnięcie uruchamia silniki elektryczne. Wówczas długi wąż wagonów rusza ze wzrastającą szybkością. Wagon-salon daje komfortowe warunki podróży. Jest tu i jadalnia, i salon do spotkań towarzyskich, i spokojna, przytulna sypialnia. Podróż przestanie być męczącą, stanie się przyjemnością.

A teraz zapoznajmy się bliżej z urządzeniami lokomotywy atomowej. Schemat jej widzimy na rys. II. Oto atomowy reaktor (1), pompy (2), kocioł parowy (3) — oddzielone od generatora betonową osłoną (4). Za osłoną para (5) porusza turbinę (6), która wytwarza w stojanie generatora (7) prąd elektryczny. Prąd ten wprawia w ruch silniki elektryczne (8), które z kolei poruszają koła lokomotywy. Ostatnią częścią lokomotywy atomowej jest automatyczna tablica rozdzielcza (9), z której płyną rozkazy do wszystkich automatycznych urządzeń lokomotywy atomowej. Siedzący w kabine (10) maszynista kieruje ruchem olbrzymiego pociągu niedalekiej przyszłości.

Przemysław Bystrzycki

POGRZEB

Dokończenie opowiadania, z poprzedniego numeru „Nowego Świata”

W tym zaskoczeniu szansa jest jedna: podejść jak blisko się da i otworzyć ogień. Na razie nie wykryty może działać swobodnie. Może przeskoczyć przez wąską jezdnię, podbiec w cieniu kolegów? Ale wtedy nie będzie w stanie strzelać w obawie o Mietka i Ksawera. Przypada do muru. Po dwóch krokach, stamtąd dwa pojedyncze strzały. Światło gaśnie. Ustokrotnione echo serii z automatu przedłuża zamarłą jasność w łapczywych pamięciach. Znowu strzał i znowu seria. Niemców było dwóch albo trzech. Poznał po ogniu. Ksawer ukrył się w bramie. Wyrwał granat z lewej kieszeni. Podbiegł z dwa metry, na wysokość towarzyszy. Wyszarpnął zawleczkę. Głęboki przechyl do tyłu i wyrzut na skos co sił. Raz, dwa, trzy — susami odmierzał zwłoki zapalnika. Padł na ręce, przylgnął twarzą do wilgotnych kamieni. Gejzer jasności, detonacja, jakiś szcęk. Odłamki uderzyły o rynnę. Poderwał się, cisnął drugi. Później z prawej kieszeni wyrwał odbezpieczony wcześniej pistolet i ruszył na przelaj. Po dwóch krokach nowa seria przy cisnęła go do „kocich łbów”. Nie słyszał gwizdu nad głową. Strze lali ze zbyt bliskiej odległości. Na okres widocznego tam ognia huk łomotał w skroniach, jakby przyłożył ucho do bębna. Dlaczego towarzysze milczą? Nie ma sekundy do stracenia! Trzeba odskakiwać, natychmiast odskakiwać, zanim zamkną odwrót. Gwałtowny niepokój: o-baj martwi? Jeden sus i już przy nich. Nachyla się. Jacek leży twarzą do góry, niedźwiedzie ramię zwiisa z krawężnika. Błdy policzek orze czarna bruzda, zaczynająca się tuż nad brwią. Twarz chłopskiego syna jest spokojna i czysta jak ułotka, którą pomagał przykleić wysoko. Strużka spływa coraz niżej. Obok leżący Ksawer oddycha z wysiłkiem.

— Trafili go przy pierwszej serii... Nie zdążył wyciągnąć broni. — Rzeczywiście, prawa pięść przyjaciela jak bochen rozpięra kieszonki palta. W lewej, tej na jezdni, rozbita butelka i kałuża jakiejś mazi.

— Co ci?

— Dostałem w kolano, osyny — jęczy Ksawer. — Dobij... głos się łamie. — W dwóch nie ma sensu, nikt nie wyjdzie...

Sekunda ciszy i strzał oświe tla obły kontur głowy. Chybia, bo ręka dygoce z wysiłku. W ogniu tego wystrzału maź przy biera złotawy odcień. Czarna bruzda minęła już grymas mięsistych ust Cholewy i kapie z brody na ziemię. Kapie na miód z rozbitej butelki, który dla bezpieczeństwa używali dla zamiast kleju.

— Takiś komunista — ryczy Przekąźny i reka podskakuje od wystrzałów. Smuga ognia i podniecający ciepki zapach prochu. Wali do dwóch sylwetek w okragłych hełmach, które po sekundach ciszy podeszły. Natychmiast wyrwa Ksawerowi pistolet. Teraz strzelac będzie z obu rąk, aż wypłuje cały magazyn. Usłyszy jeszcze

„Donnerwet...” — i miękki plask.

Jeden, drugi. Wewnętrzna radość jak oczyszczenie wywabił półśmieszy. Lewy policzek powędruje do góry. Nie widać tego uśmiechu, bo jest znowu zupełnie ciemno i przerażająco cicho. Później zmieni ładunek, poderwie się, przewiesi sobie przyjaciela przez ramię, zapyta: „Kto ma resztę ulotek?”, usłyszy: „Ja!” i ruszy w powrotną drogę.

Zaraz tupot podkutek butów naprzeciw, gwałtowny i narastający. Kto prędzej do bramy? Pamiętał: Ksawer nie ciążył mimo bezwładu. Oto rynek i trzecie wejście na lewo, to samo, z którego wyskoczył kot. Skreślił w czarne wnętrze, dwa trzy stopnie i już podwórko. Niewysoki murek, drugie podwórko, mniejsze od tamtego, wyjście na ogród. Chwilę odpoczął? Oczywiście nie deszcz, ale słona ciecz. Od karku wzdłuż krzyży płynie strużka i niemiłosiernie laskocze. Serce wali jak dzwon, ślina zgęstniała na kłajster i w ustach smak żelaza. Nie, nie można. Ranny oddycha ciszej — zemdał. Jak żal tamtego, który został. Trudno, nie było rady.

Do meliny wrócili późno. O której godzinie nie wiedział, zegarek wskazywał bowiem jeszcze tamten czas. Stanał pewnie, gdy przetrząsał bezwładnego Ksawera przez ogrodzenie między podwórcami. Uderzył wtedy przegubem o wystający ceglany okap. A więc trwało to wszystko tak krótko, zaledwie kilka minut. Nie do wiary! Ciekawe, co na ten temat miałyby do powiedzenia „dogmatyki”. On tak lubił filozofować. Ale „dogmatyki” leży i na gwałt trzeba zaufanego lekarza. Skąd? Chyba „stamtąd”. Dobrze sobie — dwadzieścia kilka kilometrów piechotą nie w kij dmuchał. Po ostatniej pukaniu Niemcy zarządzają nowe ostrzeżenia. Wzmocnią patrole i może przesuną godzinę policyjną.

Przez dwa dni nikt z towarzyszy się nie pokazał. Jasne, w taki czas. Próbowali ratować kolegę jak umiał. Zranionego kolano puchło jednak i przybie rzało żółtosiny kolor. Od strony łydki nabrzmiewały ciemniejące żyły. Drugiego dnia pod wieczór chory zaczął majaczyć: wołał matkę i pytał, czy ojciec już na lekcjach w szkole, mamrotał o zdradzie burżuazji, dopytywał się o Cholewę. Nazajutrz Przekąźny powiedział sobie — dość! Przewiesił płaszcz przez ramię, okulary wsunął do kieszeni, założył cyklistówkę. Może padać, pomyślał, i poszedł.

Iść nie musiał przez rynek. Nakładając sporo drogi, mógł okrążyć miasto, a później polnymi ścieżkami. Punkt kontaktowy w leśniczówce znał, stamtąd zaś do grupy — żabi skok. Dodatkowe kilka kilometrów błędzenia po peryferiach zjawiało godzinę, dwie, a tutaj czas liczył się na minuty. Z gangreną żartów nie ma. Najbardziej dokuczało sumienie, że tak długo przeciągnął, iż był

może grozi koledze amputacja nogi. Śmierć Cholewy przybiła jednak bolesnie, rozkleiła trochę. W innych razach nie darowałaby sobie tej zwłoki. Teraz brawurą zamierzał nadrobić brak tamtej decyzji.

Zobaczył patrol u wylotu do rynku dawnej ulicy Narutowicza. Trzech ich stało, zagroździwszy jezdnię, z bronią przewieszoną przez pierś. Obok oficer i dwóch chłopców z HJ. Legitymowali zapewne bez wyjątku, bo właśnie jakiś cywilny Niemiec wykrzykiwał coś charkliwie, wskazywał na kłapę marynarki i szeroko gestykulował. Zajęci tamtym mogli go nie zauważyć. Spróbuj więc odejść, odległość daje szansę. Byle zachować spokój. Odwrócił się, wyciągnął nogi. Ktoś biegnie lekko za plecami: „Halt!” — woła chłopięcy głosik. Hajotowiec był tuż. — Proszę stanąć, proszę zawrócić — uczył się rękawa — tamci panowie chcą porozmawiać.

— Jacy panowie — udał głupiego. Nie odwrócił nawet głowy. Szedł wciąż szybko. Wyrostek komicznie podskakiwał obok. — Oderwać się, oderwać się za wszelką cenę. Jeszcze 30 metrów do rogu.

— No, tamci wojskowi.

— Jacy wojskowi, nie widziałem — ale już ich usłyszał. Ten diabelny tupot podkutek butów, dzwoniący w uszach od tamtego wieczoru. Wyrwał rekaw z palców pucłowatego blondyna, uderzył na odlew, bez pośpiechu, zdziwione, otwarte usta. Język obślinił przegub. Jakaś kobieta stanęła zdziwiona na rogu. Podbiegł, skreślił w uliczkę. W oka mgnieniu założył płaszcz i okulary, postawił kołnierz. I wtedy zobaczył pogrzeb. Najpierw ciężkie konie i wóz wojskowy przykryty kirem i krzyżastą flagą Rzeszy. Później pastora kroczącego w adwokackiej tozje, tylko trochę dłuższej, orkiestrę wojskową, kompanię honorową i mrowie cywilów. Zdjął czapkę, minął wóz, pastora, wojskowych, wszedł między ludzi. Żandarmi nadbiegli, zatrzymali się niepewnie przed konduktem. Dowódca przesiadł się oczyma po idących. Fala ludzi gestniała. Przekąźny pobożnie nachylił głowę, oglądał zabłocone trze wiki i skarpety tyrolskie. Kreczone włosy opadły na czoło i zaczął padać deszcz.

Wreszcie zamykano parasole. Zerwał się wiatr, chmury skiebiły się i gdzieś tam ukazał się błękit. Liście z kasztanów, stojących wzdłuż alei, ciężkie od wilgoci, koloru miodu, krótko chwiały się w powietrzu kołysane podmuchem. Czarne przystrzyżone tuje, podobne do miniaturowych topol, parły łagodnym wierzchołkiem pod nurt szarobłękitnych obłoków, jakby spieszły wypłynąć na lazury skrawki pogodnego nieba. Towarzyszka spytała znowu cicho, i znowu po polsku:

— Czy pan rozumie, co mówi pastor?

Nie rozumiał. Zawilości ozdoby, kaznodziejskiej frazy za-

cierały sens dla niewprawnego ucha. Nie chciał mu się gadać o kazaniu. Potrzebował towarzysza kobiety, aby z nią wyjść z cmentarza, jeżeli Niemcy obstawili bramę.

— Nie bardzo, zresztą, to zdaje się koniec. — Rzeczywiście duchowny jak czarny ptak spłynął z niskiego kamienia i utonął w tłumie. Jeszcze salwa honorowa i pomyśleć trzeba o wyjściu.

— Niech pan pozwoli ze mną. Proszę — wzięła go pod ramię i odcignęła na bok. — Nie wolno tracić czasu. — Szedł zniewolony śmiałością jej gestu i stanowczością w głosie, którego nie spostrzegł w krótkiej, co prawda, i urywanej dotychczasowej rozmowie. — Jeśli konfidentka — nie do brze. — Broni nie zabrał na wypadek ulicznej rewizji. Kłął teraz w duchu te idiotyczną decyzję. Bo i kobieta jakoś nie tego, a ważniejsze, że w ostateczności próbowałby się przebić. Jedyne cmentarne wyjście wydało się raptem bardzo wąskie i obrąbane wianuszkami koloru feldgrau. Tfu, na psa urok. A może tak alejkami i później przez mur. Bzdura! Jak przeskoczyć bez pomocy, przeszło trzy i pół metra?

— N-n-nie r-r-rozumiem — wymamrotał.

— Zaraz pan zrozumie. — Tłum odpywał wolno ku wyjściu. Odeszli jeszcze dwa kroki.

— Przybył czy Przybylak było jego nazwisko?

Zdębiał.

— Przybył czy Przybylak było jego nazwisko? — Rzęsy dawno wyschły z kropel rosy podniosła wysoko. Szare, kocie trochę tęczywki patrzyły z głęboką uwagą. Czytał w nich filuterne ogniki i jakiś utajony ciemnobłękitny ton, który każde instynktownie ufać, jakkolwiek nie bardzo wiadomo dlaczego. Spojrzał beznadziejnie za siebie. Kilka grobów dalej babka cmentarna chudymi palcami i zwykłą kuchenną łyżką czyściła mogiłę z chwastów. Za pięć dni Zaduszki — wspominał. Czarna pogarbiona sylwetka nie miała krajobrazu martwych pomników, zwarzonych jesiennych liści, ścieżek wysypanych piaskiem, na których za chwilę legnie zastygła cisza. Pod tujami grabarz i jego pomocnik płaskimi łopatami ubijali przyzme żółtej gliny nad trumnami świeżo pochowanych. Obok nich na wieniecach i szarfach leżał prosty brzozyowy krzyż z czarną tablicą, fantazyjnie zawiniętą u dołu i u góry. Wiatr znów zawiął niespodziewanie, przyniósł trochę złotych liści i osobliwy zapach cmentarza. Dziwna kobieta. Na tle tej posępnej sceny wydawała się równie obca temu miejscu, jak on sam. — Zaufać?

— Powtórzyć? — policzki ko biety zaróżowiły się.

— Nie Przybylak, ale Przybylski, Jakob. Zabrali w 43. Sekretarz KM w Poznaniu, piękny człowiek — nie poznał własnego głosu.

— Domyślałam się, że towarzyszy Przekąźny. Dla sprawdzenia jednak musiałam zacząć od hasła. Nie przerywajcie! Nazywam się Rozalia, brzydko, co? — Uśmiechnęła się. — Takie imię trochę postarza, ale to nie. Przychodzę od towarzyszy. Jestem lekarką. Przysłał mnie, aby wam pomóc. Ścisłej: pomóc waszemu koledze. Prosiłam już, abyście nie przerywali. Aha, skąd wiem o was? Przed strzelaniną minął was facet z walizką. Pamiętacie? Pędził z bibułą na pociąg. Poznał was mimo mgły. Gdy zaczęliście walić, wszedł do bramy, oczywiście, nie pojechał. Był świadkiem, jak dzwigaliście kolegę. Zameldował o wszystkim. Towarzysze domyśli się, że ktoś jeszcze u was jest ranny, no i dali adres. Wcześniej nie mogłam, dopiero w nocy wróciłam od chłopców. Ich lekarz poległ. Chodźmy — ruszyli za ostatnią oddalającą się grupą. Przyspieszyli, aby wyjść z tamtymi. Zniżyła głos:

— Ledwie was dopędziła. Dobrze, że pogrzeb włókł się tak wolno. Klepcie, klepcie — kiwnęła głową w stronę grabarzy, których właśnie minęli. — Już niedługo, a pójdziemy na stypę po waszej Rzeszy.

Po chwili:

— Fotografia u towarzyszy stara, poznać trudno, a do tego jeszcze teraz te okulary. Zwróciłam uwagę, gdyście uderzyli Hajotą i później w ten pogrzeb. Myślicie, że tak trudno odróżnić swojego. Mam trzy i pół roku praktyki. Na drugi raz odzienie zmieniajcie w jakimś cichym zakątku. Wiem, wiem, tym razem żandarmi siedzieli wam na karku. Upewniam się, gdyście już koło mnie zdjęli na chwilę okulary. Poza tym, po co ta droga przez rynek. Prowokować nie wolno. Teraz uważajcie, zaraz brama.

Ale przeszli bez trudu. Niemcy nie obstawili cmentarza. Owiał ich rześki, prawie wiosenny podmuch. Byli szczęśliwi, że zostawili za sobą tamte wieniec, szarfy i groby. Niebo wyblękitniało zupełnie i seledyn przysmagał złoty blask miodu, który przemieniał się w krew czerwieniejącą tuż nad horyzontem. Rozalia przycisnęła ramię Przekąźnego mocniej, niż nakazywała konieczność. Czuli skurcz w gardle pod wrażeniem niedawnych wspomnień, wywołanych przez te dwie barwy i aby się nie jękać, wybrał milczenie. Szli w tę jasność przedziei i przedziei, bo oczekiwał ich ranny towarzysz, którego musieli wyrwać śmierci. Zapytała:

— Czy wiecie, kto was uratował?

— N-n-no?

— Wasi dwaj Niemcy.

— N-n-nasi, m-m-moi — nie pojmował.

— Tak, pastor mówił. To był właśnie ich pogrzeb.

☆

Październik — listopad, 1954.

KOLEKCJE AKTUALNYCH ZNACZKÓW



Z okazji święta ludzi pracy — 1-Maja — pocztę różnych państw wydały specjalne znaczki. Na naszej reprodukcji podajemy znaczek radziecki wydany w 1950 roku, znaczek węgierski wydany w 1953 roku oraz cztery znaczki polskie wydane w latach 1950 — 1954.



W związku z VIII Wycieczką Pokoju podajemy dzisiaj kilka znaczków wydanych przez Pocztę Polską z okazji poprzednich wycieczek w 1948 r., 1952 r., 1953 r. i 1954 r.



Z okazji Festiwalu Sztuki i Dni Krakowa ukaże się specjalna seria znaczków trzech wartości: 20 gr, 40 gr, 60 gr. Znaczniki te przedstawiają lajkonika; wykonano je po raz pierwszy w Polsce trójbarwnym offsetem.



Z okazji dziesięciolecia wyzwolenia Ziemi Zachodniej ukaże się w maju br. nowa seria znaczków pocztowych, składająca się z czterech wartości. Na znaczkach przedstawiono zabytkowe budowle: Szczecińska (25 gr), Wrocławia (40 gr), Zielonej Góry (60 gr) i Opola (95 gr).

Dr Z. Gniady

Szczęśliwy człowiek

(Stara bajka w nowej wersji)

Za siedmioma drogami, za siedmioma stacjami, z dala od kolei, wśród lasów — leżało niewielkie państwo, zwane przez zamieszkujących je naród Wioską. Panował tu potężny (w rozmiarach i tuszy) i dobry (głównie dla siebie) król imieniem Kabanos. Kochali i chwalili go wszyscy, alści król Kabanos zaczął niedomagać na zdrowiu. Żółć, która mu organizm zatruwała, najdotkliwiej odczuwali ci, co się mu pod ręką nawinęli. A Kabanos chorował coraz bardziej, z każdym dniem czuł się słabszym. Ponieważ dostać się do poradni specjalistycznej było, tak jak dziś, bardzo trudno, wezwano na naradę powszechnie szanowaną sędziwą Mądrą, która posiadała tajemnicę wypędzania choroby. Nie zdarzył się w Wiosce jeszcze wypadek, aby Mądra nie pomogła. Wcześniej czy później chorobę wypędziła. Czasem razem z chorobą wypędziła życie pacjenta — ale zawodu nie zrobiła.

Posłał więc potężny Kabanos po Mądrą. Przyszła. Spojrzała na leżającego wśród pierzyn króla, napluła dookoła równiutkie kółeczko, jakby kto cyrklem

wymierzył, dmuchnęła w potężne nozdrza Kabanosa i rzekła: — Nie, mizeraku, tobie trza inszego leku. Ciebie wyleczy koszula szczęśliwego człowieka. Ślij ludzi na wsze strony świata. Niech szukają szczęśliwego człowieka i niech go tu wiodą do ciebie. Włożysz jego koszulę i będziesz zdrow. Ten szczęśliwy człowiek musi jednak mieć koszulę popelną ze sklepu uspołecznionego.

Pchnął więc Kabanos ludzi do odległej krainy zwanej Poznaniem i kazał pilnie bacznie na ludzi.

Jak król nakazał tak też pacholkiwie uczynili. Przyjechali do Poznania i ustawili się na dworcu przed kioskiem. Stało tam kilku mężczyzn, którzy kupowali papierosy. „Co, nie ma innych jak Sporty i Wczasowe? — pytali. — O rany, jacyśmy nieszczęśliwi!”

— Nic tu nie wskóramy — mruknął jeden z pacholków. I już mieli oddalić się z tego miejsca, gdy jeden z kupujących krzyknął głośno:

— Dawaj pan! Właśnie Wczasowe, bardzo się cieszę, biorę dwie paczki!

Pacholkom aż oczy zabłyśły. — W sam raz dla nas — mruknęli. — Jesteście zadowoleni? — spytał jeszcze dla pewności. — Co nie mam być? — odparł dziwny klient. — Rattunku, chuligani! — krzyknął nagle, gdyż oto pacholkiwie chwycili go pod ręce i powlekli z sobą, czemu spokojnie przypatrywali się inni ludzie i MO, zajęta w owych czasach nauką chodzenia. Gdy pojmanego stawili przed Kabanosem, ów zapytał jeńca dobrotliwie:

— Tyś to był zadowolony z Wczasowych?

— A ja — potwierdził.

— Jesteś zawsze zadowolony, szczęśliwy?

— Czemu nie mam być? Nie palę. Kupowałem dla żony.

— Och — jęknął król wzruszony — oto nadchodzi kres moim cierpieniom...

Ale nasza nowa bajka kończy się tak samo jak stara: cierpienia króla nie zostały uleczone, bo człowiek szczęśliwy nie miał koszuli.

— Nie masz? Dlaczego?

— Bo w Poznaniu nie mogę dostać w żadnym uspołecznionym sklepie koszuli popelninowej z koinerzykiem nr 43!...

I. ROŻKOWA



Nowinki z PDT

Koło PDT wystawia go-dziłami chuligani. W Pedecie dostaniesz literalnie wszystko — nawet chuligani mają swe stołsko!

WŁODZIM. SCISŁOWSKI

Szczerość

Mówią, żeś jest aktywista: kochasz akty, cenisz wista...

WOJCIECH TYBLEWSKI

W sprawie biurokracji

Walka z biurokacją ma już nową postać: papieru wszelakiego coraz trudniej dostać...

KAZIMIERZ DONIMIRSKI

W kawiarni

„Mam przodka z herbem” — rzekł snob, spleen leczący kawą. „Twój pradziad wobec niego był dziadem! był pyłkiem!” Na to gruby spekulant odparł mu żwawo: „Ty się chwalisz swym przodkiem, ja — szero- rokiem tyłkiem!”

EDMUND KNOPKIEWICZ

Typ

On tylko jednej etykiety przestrzega sa-lonowej...

45-procentowej!

KONRAD DOBBERSCHÜTZ

Pomyłka



Dzięki poznańskim telefonom poturkowałem... z w... a... a... a...

JAN JAKUBOWSKI

Podpatrzone na trasie



— Tak, tak, piękna, górzysta okolica...

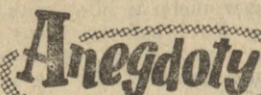


rys. J. Kaczmarczyk
Całe szczęście, że jadę z wiatrem...



DZIADUNIO OPOWIADA:

— Było to dawno, bardzo dawno temu. Wtedy, kiedy od czasu do czasu zaglądał do nas ktoś z POM-u z Bralina...



Twain i napisy

Mark Twain nocował kiedyś w prowincjonalnym hoteliku. Nad łóżkiem w swoim pokoju za-uważył kartkę z napisem: „Palenie wzbudzone! Zanim zapalisz papierosa, pomyśl o wielkim pożarze hotelu w Cincinnati!”

Twain, niewiele myśląc, dopisał: „Nie plu! Pamiętaj o strasznej powodzi Mississipi...”

Dobra rada

Pewien mało popularny nowelista podczas rozmowy z Maupassantem poskarżył się wielkiemu pisarzowi:

— Dziwnie! piszę nowelę w ciągu tygodnia, a potrzebuję roku na jej wydrukowanie.

— Niech pan — odpowiedział Maupassant — spróbuj inaczej: cały rok pracuj nad nowelą, a druk w ciągu tygodnia ma pan zapewniony. (jk)

GRUNT to REKLAMA!

W Ameryce reklama jest wszy-stkim: reklama stoi u ko-tyłki, reklama towarzyszy wty-ciu, z reklamą schodzi się do gro-bu. Przede wszystkim jednak re-klama jest businesssem. Oto kil-ka reklam, które spotkać można w metropolii amerykańskiej na każdym kroku. Podajemy je z u-wagi na ich niewątpliwie właści-wości rozbudzające.

Biuro podróży: „Oglądaj so-bie dobrze świat, zanim go opu-ścisz!”

Księgarnia: „Szatana ogarnia drzenie, gdy widzi, że jak niską cenę sprzedajemy naszą biblię!”

Armia Zbawienia: „Przywołaj mnie w potrzebie — a ja cie wy-bawię! Numer telefonu 1-93-30!”

Drogeria: „Dlaczego Mona Liza ma uśmiech na twarzy? Po-nieważ używa regularnie na-szych tabletek na odchudzanie!”

Marka papierosów: „W tym znaku zwyciężysz!”

Lokal: „W razie obrzucenia naszego miasta bombami atomo-wymi, zapłać wprzód rachunek! Nasza obsługa zaprowadzi cie po-tem do sto procentowo bezpiecz-nych schronów!”

Cmentarz: „Prawda, że za-wsze życzyłeś leżeć sobie w sa-siedztwie gwiazdy filmowej. Ofiarujemy tobie jedyną okazję po temu. Groby pierwszej klasy. Wyjątkowe położenie z widokiem na morze. Spokój całkowity. Kto raz spróbuje, nie opuści już więcej naszego cmentarza!”

Sklep delikatesów: „Mamy na składzie (prosimy o wybacze-nie!) — prawdziwy rosyjski ka-wior!”

Ożenki: „Wdowa z ośmio-riem dziećmi szuka bogatego pa-na, który przez ożenek będzie mógł poważnie obniżyć swój po-datek dochodowy!”

Biuro podróży Cooka: „Zwie-dzaj nabożewisko ostatniej woj-ny! Zobaczysz wzorowo utrzyma-ne nagrobki. Zetkniesz się z woj-ną, nie narażając siebie na szwank!”

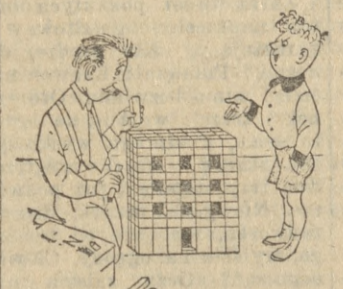
Kino: „Ten film poderwie cie-bie z fotelu, zmrozi tobie od-dech, zwałi cie na ziemię; po jednej godzinie i czterdziści mi-nut oglądania programu, pójd-ziesz do domu złamany, zm'a-żdżony, zbity, zmaltretowany, a jednak — zadowolony!”

Kościół: „Sprawcy, którzy wrzucają do puszek guziki za-miast monet, są uprzejmie pro-szeni, aby brał swe własne gu-ziki, a nie ukrecali ich od podu-szek służących do kłeczenia!”

Radio: „Uwaga! Uwaga! La-

dies and Gentlemen! Obecnie przez całe dziesięć minut nie usłyszycie niczego! Nadajemy bowiem audycję pod tytułem „Jak pracuje najnowszy model bezszmerowej maszyny do szy-cia firmy Universal...”

Zebrał: MAK



— I to ma być architektura? Formalizm, proszę rodzica, trze-ba poczytać sobie „Przegląd Kul-turalny!”

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

WODA SODOWA

(naśladowanie)

Raz do dyrekcji dedeperenu woda sodowa, woda sodowa przyszedł skromniutki petent z terenu woda sodowa gaz.

Dyrektor siedział w swoim fotelu woda sodowa, woda sodowa wysłuchiwał słówek petenta wielu woda sodowa raz.

Petent przedstawił swoje żądania woda sodowa, woda sodowa dyrektor nawet chwilę się skłaniał woda sodowa psyk.

Coś obiecywał w jakimś aspekcie woda sodowa, woda sodowa ale przeszkody widział gdzieś gdzie woda sodowa cyk.

No i na koniec rozłożył ręce woda sodowa, woda sodowa i na tym skończył całą audiencję woda sodowa hum.

Petent był skromny, więc się nie żalił woda sodowa, woda sodowa cicho odplynął na wielkiej fali wody sodowej plum!

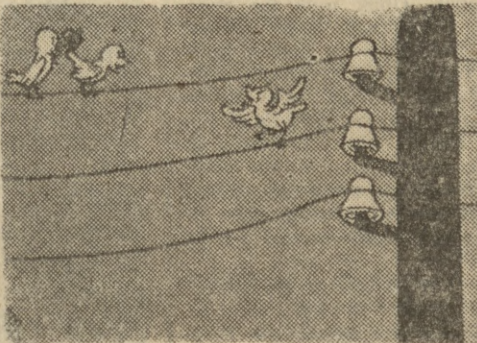


JEAN EFFEL

Z cyklu: Kiedy zwierzęta mówiły ludzkim głosem



— HAU, HAU! Ha — jak Hektor, A — jak Azor, U — jak „uliczne drzewko”...



— Z czego chi chcesz? — Bo mnie de pesza laskocze w pięty!...